Tom VIII. Nr. 16.

1. Czerwca. 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

# DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

## JONEK ŁOPUCHA.

### I.

Nie zmyśloną bajkę, jeno najszczerszą prawdę chcę wam moi mili opowiedzieć; całą historyę o Jonku Łopusze wyczytałem w starych xiążkach, a ponieważ podobała mi się bardzo, więc spisałem ją wam do Dzwonka. A jużci ciekawa to i bardzo pożyteczna rzecz wiedzieć o dzielnym Jonku, który urodzony w chacie wieśniączej, dla wielkiej swojej cnoty tak się wsławił, że na wieczne czasy za przykład służyć drugim powinien. Otóż posłuchajcie moi mili.

Działo się to bardzo dawno, bo jeszcze naówczas panował w Polsce król Kazimierz Jagiellończyk, o którym już pewno nieraz musieliście słyszeć. Panował on przez lat czterdzieści z górą, a przez ten czas przysporzył Polsce mnogie ziemie i wielką potęgę. Sąsiedni monarchowie nie znając zrazu króla Kazimierza, zaczepiali Polskę, ale kiedy on im się dobrze dał we znaki, toć potem siedzieli wszyscy cicho jak myszy w dziurze. Niekoniec na tem, że król zwyciężywszy wrogów przy-

sparzał coraz nowe ziemie swojej koronie, ale kiedy obce narody poznały lepiej sławnego króla, same poczęły go prosić, ażeby im królował. Tak uczynili Czesi i Węgrzy wysyłając do króla posłów z prośbą, ażeby się nimi opiekował. Jednem słowem był to król wielki i sławny, to też i wielki porządek panował w całej Polsce.

Był zaś ten król Kazimierz dla kmieci osobliwie łaskawy i dobry „choć go do rany przyłóż“, jak to powiadają. Toć za jego panowania nie śmiał nikt krzywdę czynić włościanom, bo surowo byłby król każdego ukarał, choćby to i najpierwszego pana; dlatego dobrze się działo ludowi, a wszyscy szczerze miłowali dobrego króla i przypominali sobie czasy „króla chłopków“.

Lubo tedy król w to bardzo wglądał, ażeby biednym włościanom nikt krzywdy nie czynił, to znowu trudno było dojrzeć wszędy królewskiemu oku, boć jak wiecie spore on miał królestwo, „od morza do morza“ jak piszą w xiążkach.

Owóż zdarzyło się, że we wsi Sosnowicach nad Wisłą położonej, która i dziś jeszcze tak samo się zowie, pewien Starosta nie po ludzku obchodził się z kmieciami. Starosta był sobie wielkim panem i z sławnego pochodził rodu, dlatego też wzbił się w pychę i za nic uważał biednego człowieka, a że do tego złe miał serce, to i nie dziw, że uciskał swoich poddanych.

Ale też znowu nie myślcie mili ludkowie, że takich złych panów było dużo w Polsce. Broń Boże! Jak wszędzie zły się człowiek znajdzie, jak wszędzie są wyrodne wyjątki, taksamo było i w Polsce ze starostą.

Otóż wszyscy sąsiedzi, także zamożni panowie, a może nawet i więksi od niego, karcili go za to surowo i straszyli, że jak król się o tem dowie, upomni się o biednych włościan; aleć twardego był on bardzo serca i wszelkie napomnienia nic nie pomagały, bo zawsze po staremu był srogim panem.

To też i nie dziw wcale, że lud także nie lubił złego pana, bo jakże miłować złego człowieka; i dużo było narzekania i płaczu na Starostę i wszyscy się go bali, a nikt nie kochał.

W tejże wsi Sosnowicach, gdzie także na wzgórku był wielki zamek Starosty, żyła sobie uboga wdowa po nieboszczyku Marcinie Łopusze. Była to już stara, zgrzybiała kobiecina, która prócz ubogiej małej chatki o jednej izbinie, maleńkiego ogródka za chatą i jednej chudej krowiny nic więcej nie miała. Ale jak Marcinowa była ubogą, tak znowu dał jej Pan Bóg na pocieszenie jedynaka, tęgiego Jonka.

Byłżeż bo to chłopak jakich mało. Miłował on starą matkę i był jej prawdziwą podporą, gdyż staruszka bez niego nie dała by sobie rady. To też caluteńki tydzień codziennie od wschodu słońca aż do zachodu pracował Jonek, a pracował tak, że ludzie powiadali, iż jak ogniem wszystko pali, gdzie tylko rękę przyłoży. Starsi gospodarze lubili go powszechnie i swoim dzieciom za przykład wskazywali, a lubo był jeszcze młody, to pomimo tego miał znaczenie u wszystkich i rej wodził między młodzieżą. Biedna matka słysząc ciągłe chwalenie Jonka, nie posiadała się z radości i ze łzą w oku przyciskała go do serca mówiąc:

— Niech cię Bóg błogosławi!

Jonek zaś nie pysznił się z tego, jakby to niejeden uczynił, jeno zawsze odpowiadał ze skromnością:

— Moi mili gospodarze, dziękuję wam za pochwały, na które nie zasłużyłem; czynię tylko to, co każdy czynić powinien.

Poczem zwykle jeszcze bardziej go wszyscy chwalili dla jego skromności.

Kiedy zaś przyszła niedziela albo święto, to zawsze chodził on do kościoła, modlił się gorąco do Boga o lepszą dolę, słuchał pobożnie mszy świętej, i zawsze kiedy do domu powracał, lżej mu było na sercu, i wcale nie czuł całotygodniowej pracy.

Aleć jak z jednej strony był pracowity i pobożny, tak też znowu lubił się w wolnych chwilach jak Bóg przykazał zabawić; w tańcu rej zawsze wodził — a że do tego był ładnym chłopcem, smukłym jak sosna, z czarnemi oczyma, toć też i dziewczęta go bardzo lubiły i niejedna miłem nań okiem spoglądała. Jonek nie gardził żadną i z każdą żartował, ale jedną

tylko kochał, biedną sierotę Hankę. Hanka choć bardzo była ubogą, jednak najpoczciwsze dziewczę w świecie; pracowita, skromna, przytem też ładna; nie dziw więc, że przypadła Jonkowi do serca. Kiedy w tańcu szli oboje w pierwszej parze, to wszyscy szeptali sobie:

— Jaka to dobra para! jakby Bóg ich stworzył jedno dla drugiego!

Od roku już kochali się oboje, i dawno chciał się z nią Jonek ożenić, ale cóż z tego, kiedy twardy pan Starosta w żaden sposób nie chciał pozwolić. Toć smucili się oboje, ale przecie mieli nadzieję w Bogu, że Starosta poźniej pozwoli, ludzie zaś pocieszali ich, mówiąc żartobliwie:

Co się przewlecze,
To nie uciecze.

Mijały dnie, tygodnie, a nawet miesiące, a Starosta pozwolenia nie dawał, choć Jonek już kilka razy był we dworze i mocno prosił pana. Hanka smuciła się bardzo i czem raz więcej, a tak sobie wzięła to do głowy, że już jej ani robota nie szła jak dawniej, ani też do ust co wziąć mogła; schła więc z dnia na dzień. Jonek zaś smucił się tem okrótnie, a ludzie żałowali ich oboje.

— Pójdź Jonku — mówił razu jednego Gaweł, chrzestny ojciec Jonka — jeszcze raz do Starosty, przedstaw mu całą sprawę, a może da się nakłonić i udzieli wam pozwolenie.

— Twardy on jak skała — mówił zasmucony Jonek — u której trudno się wody doprosić, choćby tu człowiek ginął z pragnienia.

— Nic tobie innego nie pozostaje — mówił Gaweł — musisz mu się jeszcze raz pokłonić, kto wie, może go Bóg nawrócił.

— On nie wart tego, ażebym ja go prosił, chociem ja ubogi a on pan — mówił rozżalony do żywego Jonek.

— Pomnij na Hankę... biedna może ciężko zaniemódz — i dziś już zmieniła się do niepoznania.

Na wspomnienie Hanki jeszcze większy żal ścisnął serce Jonkowe, i przez chwilę słowa wyrzec nie mógł; w końcu zaś tak się odezwał:

— Ha pójdę, dla niej to uczynię!

— Szczęść ci Boże! — mówił Gaweł.

Nie czekał Jonek długo, jeno zaraz udał się do dworu.

Przyszedłszy na miejsce długo czekać musiał, zanim Staroście podobało się przypuścić go do siebie, a kiedy Jonek wszedł do komnaty pańskiej, ofuknął go Starosta temi słowami na przywitanie:

— Czyś się zawziął na mnie chamie, że spokoju mi nie dajesz — czego chcesz?

— Jaśnie wielmożny Starosto — mówił niezrażony Jonek — lubo ciężko ubodły słowa te serce jego — przyszedłem prosić powtornie o pozwolenie.

— Przecież słyszałeś — ciągnął dalej zaburmuszony Starosta — moją odpowiedź.

— Słyszałem wielmożny panie, i gdyby to o mnie tylko chodziło, nie ponawiałbym mojej prośby, ale dziewczyna strasznie się tem turbuje i tak już ze zgryzoty zmarniała, że ją ludzie nie poznają.

— Co mnie do tego, raz już mówiłem, że pozwolenia nie dam.

Po tych słowach nie czekał Jonek dłużej ani chwili, jeno skłoniwszy się wyszedł z komnaty.

— Niech ci to Bóg zapłaci — myślał on sobie wracając z niczem do domu. I nie pierwszy to raz poszło do Boga takie westchnienie na złego Starostę, boć i niejeden tylko Jonek miał żal słuszny do niego.

A kiedy wrócił do domu zastał w chacie sierotę Hankę; stara matka zaczęła pytać syna, jak mu się w dworze powiodło, bo Gaweł uprzedził ją o wszystkiem. Jonek milczał, bo z żalu słowa nie mógł przemówić. Hanka zrozumiała dobrze to milczenie i poczęła rzewnie płakać; Jonek ją nie pocieszał wcale, jak to przedtem bywało, boć i sam zgryziony był okrutnie. Jedna tylko Marcinowa tuliła sierotę i syna pocieszała, ale pomimo tego i jej w oku łza stanęła.

## II.

Spory kawał czasu przeminął już od owej chwili, a Jonek nie ponawiał więcej swojej prośby, boć raz, że był za dumny ukorzyć się tyle razy przed tym, kto tego nie wart, a potem, że wiedział dobrze, iż zarówno nicby z tego nie było, choćby ta i codzień na klęczkach bł..gał Starostę. Hanka zaś nieutulona była wciąż w żalu, i aż serce bolało spojrzyć na nią; rumiane lica wybladły i zapadły się, a oczy od płaczu poczerwieniały, a choć pocieszali ją dobrzy ludziska, nie wiele to pomagało.

Razu jednego zdarzyło się, że przez nieostrożność Starosty wszczął się ogień we dworze. W jednej chwili objął płomień wszystko, a przez okna i drzwi buchał dym ogromnemi kłębami. Kiedy tylko pożar ujrzano, zaczęto bić w dzwony i cała gromada Sosnowiecka zbiegła się w okamgnieniu, ale gdy zobaczyli dwór w płomieniach, nie chcieli ludzie zrazu iść na pomoc, bo nie kochali swego rządcy; wtedy zrywa się pomiędzy nimi Jonek i tak pocznie mówić do gromady:

— Bracia, pomścijmy się teraz krzywd naszych!

Wszyscy obecni natężyli uwagę i słuchali, co Jonek powie, a każdy myślał, że on jaką myśl bezbożną ma w sercu; ale jakież było wszystkich zdziwienie, kiedy Jonek tak dalej mówił:

— Pomścijmy się krzywd naszych i spieszmy złemu panu na ratunek, niech pozna żeśmy Krakowiacy!

Słowa te ujęły tak wszystkich od razu, że nikt ani chwili się nie wahał, jeno wszyscy na ratunek pospieszyli i zapomnieli, jak katolikom przystoi, o wszystkich dawnych krzywdach. Płomień już był ogarnął dwór cały, dach dogorywał, a palące się belki waliły na ziemię; na dziedzińcu stał Starosta i z rozpaczy rwał sobie włosy, bo w zamku została żona i córka, które nie miały czasu się ratować.

Jonek nie zważał na nic i rzucił się do wnętrza, a za jego przykładem poszli wszyscy; w krótkim czasie wyniósł na pół omdlałą Starościnę i pannę, które pomału przychodziły do siebie, inni uratowali dużo kosztownych rzeczy, a kiedy już wszystko powynoszono, jęto się, ażeby ogień ugasić. I tu był

także Jonek pierwszym, a wszyscy dziwowali się jego odwadze i przytomności. Nie trwało dwóch godzin, a już ani płomyka widać nie było; cały budynek mało był uszkodzony, jeno tylko dach zgorzał ze szczętem, a w wnętrzu podłogi i futryny od okien i drzwi.

Nazajutrz kazał Starosta przywołać Jonka do siebie, a kiedy na rozkaz przyszedł, wyjął pan spory woreczek z pieniędzmi i rzecze do Jonka:

— Weź Jonku te pieniądze, a resztę niech ci Bóg zapłaci, żeś mi wyratował żonę i córkę.

Jonek lubo był ubogi i pewnie pieniądz byłby mu nie zawadził, nie chciał jednak przyjąć żadnego datku, jeno uśmiechnąwszy się tak się odezwał:

— Cóż to panie? czyli poczciwość ludu krakowskiego chcecie za ten grosz marny kupić? uczyniliśmy tylko tyle, co nam religia i sumienie nakazuje. Schowajcie pieniądze nazad do kalety; poznaliście co bieda, umiejcie się nad nią litować, bądźcie nam łaskawym panem! U nas Krakowiaków dobrem słowem wskóracie więcej, aniżeli przymusem i uciskiem.

A skłoniwszy się staroście odszedł sobie.

Starosta osłupiał i nie mógł się nadziwować wielkiej szlachetności i cnocie prostego wieśniaka, a zajrzawszy do swego serca i przypomniawszy sobie dawne czasy, ujrzał się obok niego jakby w zwierciedle, i aż się ze wstydu zarumienił, że szlachetnością odpłacono mu wielką nieszlachetność. To też tak żywo wziął sobie do serca cały ten postępek Jonka, że od tej chwili zmienił się do niepoznania i był nadal jak najlepszym panem dla swoich kmieci.

Sumienie zaś nie pozwalało Staroście, ażeby on Jonka nie wynagrodził, choć on nie chciał przyjąć żadnej zapłaty; więc myślał Starosta nad tem, w jaki by to sposób uczynić. W końcu przypomniał sobie o Hance i prośbie dawnej Jonka; to też natychmiast dał mu pozwolenie, a kiedy tylko odbyły się zapowiedzi, to zaraz wyprawiono weselisko. A było to wesele, jakiego nikt nie zapamiętał w Sosnowicach. Starosta sam był za ojca weselnego i wszystkiego podostatkiem dostar-

czył, a kiedy już było po weselu, przywołał państwa młodych do siebie i tak do nich przemówił:

— Dzieci moje, przyjmcie odemnie w upominku dziesięć morgów pola i dwie krowy na nowe gospodarstwo, a Bóg świadkiem duszy mojej, że z szczerego serca wam daję. Nie było już też co robić. Jonek musiał przyjąć, co mu Starosta z dobrego serca ofiarował, a nie była to zapłata za uczciwość, jeno datek dobrego pana.

I odtąd zupełna zgoda była między dworem a gromadą; włościanie zapomnieli dawne dzieje i dziękowali Bogu za jego łaskę.

Aleć nie koniec na tem.

Król Kazimierz dowiedział się o wszystkiem i serdecznie się ucieszył, że ma taki poczciwy lud; więc że umiał on ocenić prawdziwą cnotę, nadał całej wsi sołtysowstwo.

To też nie posiadali się wszyscy z uciechy, i prosili Boga za dobrego króla, a chcąc podziękować dobrodziejowi jak przynależało, wysłano Jonka i jeszcze jednego gospodarza aż do Krakowa, ażeby w imieniu całej gromady złożyli samemu królowi podziękowanie. Król przyjął wysłanników jak braci i kazał im pozdrowić, kiedy do dom wrócą, całą gromadę od króla.

Jonek osiadłszy na nowem gospodarstwie żył sobie szczęśliwie, a wszyscy go bardzo szanowali; toć poźniej, kiedy nowego wójta obierali, obrano jego — a był to wójt, jakiego i wam daj Boże, mili ludkowie.

*Grzela z Waszkowiec.*

---

## ZABAWA W KARCZMIE.

W karczmie na zabawie,
Pod oknem na ławie
Ludzie zasiadali,
Smutki zapijali.
Stary Wojciech z kwartą,
Łza mu w oczach stoi,
A mówi do swojej,
Że płakać nie warto.

A kowal z kowalem
Co młotami biją,
Siedzą przy kwaterce,
Jeno klną a piją.
A szewcy na boku
W kąt się przyczaili,
I siedzą w natłoku
Jakby buty szyli.

Z odpustu wracali,
I tak się zebrali,
Stare baby miejskie
I dziewczęta wiejskie.

A żyd przed chłopami
Uwija się żywo,
Z swemi córeczkami
Szynkujący piwo.
Aż tu ze skrzypkami,
Kobziarze z kobzami,
Przychodzą wieśniacy
I ze wsi kozacy
Przyszli z torbanami.
Świeczki zaświecili,
Grajków usadzili
I dalej do rzeczy.
Jużci kobza beczy,
Już torbany brzęczą,
I skrzypią skrzypeczki,
A młode dzieweczki,
Do chłopców się wdzięczą,
A żyd nadskakiwa,
Gdzie próżno, dolewa.
Widzita, widzita,
Już się Mazur chwyta,
Zawinął sukmanem,
A czapka z baranem,
A przy nim dziewczyna,
Wysmukła jak trzcina,
A oczka się śmieją,
Lica rumienieją,
A warkocz przez szyję
Z wstążkami się wije.
Spojrzała za siebie,
A bodajże ciebie.
Parobeczek huka,
Obcasami stuka,
A znowu za nimi,
Swoi ze swoimi.
Kasieńka tańcuje,
Bartek przyśpiewuje:

Kochajże mię dziewcze moje,
Będziem sobie żyli dwoje,
Będziesz miała, miły Boże,
Siła w polu i w komorze,
Krówki dojne, w skrzynce pełno,
I owieczki z białą wełną,
Będzie ciepło w chacie twojej,
Bo wioseczka w boru stoi,
Bór sosnowy, a żywicą
Z daleka się chojny świecą.
Jest i wozik szybowany,
W nowe szyny okowany,
Złote żyto pod Warszawą,
Będziemy je zwozić żwawo.
Nadewszystko dziewczę moje,
Ucieszy się serce twoje,
Bo ludziska, poczciwości,
Szczerej serca życzliwości,
I powietrze jak najzdrowsze,
Nie ma ziemi, jak Mazowsze!
Aż Krakowiak krzyczy
Cichojta muzycy,
Teraz dla Polacka,
Grajta Krakowiacka,
I przychodzi do niej,
I grzecznie się skłoni,
Brzęcze kółeczkami,
Krzesze podkówkami.
I czapeczką z pawiem piorem,
Wytrząsa się nad Mazurem:
Alboswa to jacy tacy,
Chłopcy Krakowiacy,
A cóż to nam wadzi,
Wiedzieć by my radzi,
Czy w taneczku nie ruchawi,
Czy nie sprawni, czy nie żwawi,
Czy z cepami nad snopkami,
Czy z kosami nad łąkami,
Czy na koniu czy piechotą,
Powiedzże mi moje złoto,
Cóż mi też brakuje,
Niech się dowiaduję?

Może ziemia nie wesoła,
Może piascyska do koła,
Może co Warsowa,
Lepsza od Krakowa?
Gdybyś ujrzała dzieweczko,
Ten nasz Kraków, to miasteczko,
Duże góry kieś daleko,
A on siedzi se nad rzeką,
Nasz Kraków rodzony,
Wisłą otoczony.
Jakie to tam chłopy hoże,
Jakie żwawe, mocny Boże.
Pasik z kółeczkami,
Kaleta z groszami,
I w tańcu nie zgrzeszą,
Podkówkami krzeszą,
Wąsa pokręcają,
Ogniście kochają.
Niechże teraz powie która,
Cym nie lepsy od Mazura,
Co się w boru rodzi,
I po piaskach chodzi?..
Ciszej, ciszej, krakowiaczka,
Torbanisto graj kozaczka,
Hej, hu, dzieweczki,
Pójdźcie z nami z taneczki!
I pokręca kozak wąsa,
Drobniusieńko ku niej pląsa,
Brzęczy torban, beczą dudy,
Hej w trepaka, hej w prysiudy,
I pod boki się ujmuje,
I wdzięczy się, nadskakuje.
O ja kozak z Ukrainy,
Czym nie miły dla dziewczyny,
Niech powiedzą wieczornice,
Nasze krasne mołodyce,
Hej hu dzieweczki,
Pójdźcie ze mną w taneczki,
W Ukrainie tłuste woły,
Zboża brogi i stodoły,
A kawony a melony,
A pszenica nad zagony,
Jakie w barciach stoją miody,
Jakie ryby z jasnej wody,
Jaka miłość, przywiązanie,
A na stepach to hulanie,
A przed karczmą jakie tany,
Tańczą dziewki, brzmią torbany,
Hej hu dzieweczki,
Pójdźcie z nami z taneczki.
Pokochajcie sławy syna,
Nie ma jako Ukraina,
Cała Polska nie taka,
Pokochajcie kozaka.
A na to dziewczyna,
Znów swoje zaczyna,
Bierze się pod boki,
Nóżką ziemię tupie,
Aż się wszystkie serca
Radują w chałupie,
I torban i liry,
Głos wydają szczery,
I kobza i skrzypki,
Dla tej złotej rybki.
Warkocz odrzuciła
Za ramię niechcący
I śpiewką chłopakom
Odpowie śmiejący.
Nie taka ja moi,
Żebym za mąż chciała,
Gdybym chciała męża,
Dawnobym go miała.
Nie chcę ja kozaka,
Który wozi skóry,
Ani Krakowiaka,
Co skacze do góry.
Ale wezmę sobie
Za męża i pana
Jakiego młodego,
Grackiego hułana.
Konia mu napoję,
I siana nakładę,
Gdy pójdzie na boje,
I ja z nim pojadę.

Będę markietanką,
Wódkę przedawała,
I dzieciątko śliczne,
Będę piastowała,
W obozie to życie,
Tam się to kochają,
Radują się, cieszą,
Gdy bitwę wygrają.
A kiedy przegrana,
A konik zabity,
To któż prócz kobiety,
Pocieszy hułana?
I śpiewkę skończyła,
Wzrokiem potoczyła,
A któżby dla tego
Dziecka niebieskiego,
Nie wyrzekł się z chęcią
Życia doczesnego?
— „A cóż mi powiecie?
— A cóż ci powiemy,
Jutro do żołnierzy
Wszyscy przystaniemy.
— „Oj, nie dosyć na tem,
Kto największym chwatem,
Takiemu Kasieńka
Otworzy wroteńka,
Otworzy, otworzy,
Szczerze umiłuje,
Do serca przyciśnie,
Oczki wycałuje.
I białem ramieniem
Otoczy kochanie,
I na całe życie
Z onym pozostanie,
Byście tylko mili,
Do domu wrócili.

— Nie bój się dziewczyno,
Polaki nie zginą.
Moskwą pobijemy
Do dom się wróciemy,
Krzykniem — Bogu chwała,
Polska nasza cała.
— Oj moi panowie,
Daj wam Boże zdrowie.
Żyd piwa dolewa,
I karczma szczęśliwa,
I cieszą się starzy,
I cieszą się młodzi,
Niech im Pan Bóg darzy,
Bo się im tak godzi.
Muzyka od ucha
Zagrała kochana,
Oj dana, oj dana,
Tańcują ej! hu! ha!
Kasińku! Kasińku!
Wesoło zawodzą,
Szczęśliwa ta ziemia
Gdzie się takie rodzą
Miluchne dziewuchy
I chłopaki zuchy.
Oj z naszej doliny
Dziewki jak maliny,
Chyba to sam pan Bóg
Rozplenia te kwiaty,
Nie uboga ziemia,
Pochylone chaty,
Co to pod borami
Otoczone w płoty,
Siedzą nad piaskami
Jak dzieci sieroty...

*Teofil Lenartowicz*

---

# Miłosierdzie biednego Jasia.

Przyjechałem raz koło południa do Lwowa. Wytrzeszczyłem oczy, boć to tam tyle cudownych rzeczy do widzenia, i ani nie wiedziałem, kiedy i na czem mi czas zeszedł. Aż idąc

jedną ulicą samym wieczorem, usłyszałem na raz głośną rozmowę. Poglądam za siebie i patrzę, aż tu wedle jednego domu zeszła się gromada ludzi i rozmawiała głośno.

I ciągle schodzili się ludzie, a każdy zaraz jakoś posmutniał, załamywał ręce i wzdychał:

— Mój Boże! co sobie teraz pocznie sam jeden — w domu tyle dzieci, i któż to koło wszystkiego robić będzie porządek. Zatrapi się chudzina!...

— Ej, to wszystko nic — powie siwiutki staruszek — ale za co pochowa dobrą żonę, kiedy taki miał wielki wydatek, bo dwoje dzieci chorowało, a lekarstwa dla żony nie mało kosztowały.

— A była to prawda dobra żona — rzeknie dziadek kościelny — pracowita i nabożna jak rzadko. Ale któż zbada wyroki Boskie! Trzy lata temu spalił się im dom, biedna kobiecina z wielkiej pracy i turbacyi zapadła w chorobę, i po długiem kawęczeniu ledwie ją Bóg wziął do chwały swojej.

— I dawno umarła? — zapytał jeden ze słuchających.

— A dopiero tej nocy — powiada dziaduś — zaraz jak tylko odszedł xiądz dobrodziej.

— A czy jeszcze przyjęła przenajświętszy sakrament? — zagadał znowu jakiś pan w rogatej czapce.

— Wyspowiadała się i przyjęła ostatnie pomazanie — odpowie dziaduś — a nawet chwilę przed śmiercią pobłogosławiła dzieci i męża, a potem biedaczka z uśmiechem spojrzała na obraz pana Jezusa i zawoławszy: Boże! przyjmij mię do siebie! — zeszła z tego świata.

— A to piękne miała skonanie — odezwał się siwy staruszek i zaraz potem poszedł do domu, w którym zmarła kobieta leżała, a za nim wszyscy ludzie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — powiedzieli ludzie.

— Na wieki wieków! — odpowiedział stolarz, który był mężem zmarłej kobiety.

Owóż poszedłem i ja odwidzić umarłą, która leżała na łóżku bez trumny i bez niczego. Niebogа chociaż miała twarz okrutnie wychudłą, oczy zapadłe, ale powiadam wam moi lud-

kowie, tak wyglądała pięknie, iż zdawało się, że ona spi tylko. Ręce miała złożone, w których trzymała obrazek święty, zaś w głowach paliły się dwie świece po bokach krzyżyka stojące. Przy łóżku stał mąż nieboszczki, i rzewnemi łzami opłakiwał dobrą żonę co chwila poglądając na dzieci, które przy piecu w obdartych sukienkach stały i ocierały łzy w oczach.

Ludzie klęczeli i modlili się za duszę zmarłej, ale żaden z nich nie pomyślał, żeby poratować biednego stolarza, który nie miał za co pochować poczciwej żony.

Zaś przy mnie klęczał jakiś chłopiec niewielkiego wzrostu, w dosyć lichym surducie i płacząc szeptał po cichu:

— Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci na wieki wieków.

Nagle powstał on z miejsca i wyszedł z izby. I niedługo przychodzi nazad ten sam chłopiec i przybliżywszy się do męża zmarłej, tak powiada do niego:

— Złożyłem sobie kilka reńskich na letnie odzienie, ale widząc was w wielkiej potrzebie panie majstrze, daję wam co mogę. Przyjmijcie je więc z dobrem sercem, bo ja wam szczerze ofiaruję. Krajan krajana ratować powinien, bo tak nam nakazuje wiara nasza. Zaś pan Jezus mi poszczęści, że sobie złożę jeszcze więcej, a więc nie zabraknie mi na odzienie.

To powiedziawszy dał stolarzowi zawinięte sześć reńskich i ukląkł na ziemi i modlił się za duszę stolarzowej.

Wszyscy obecni posłupieli na ten widok i tak się wszyscy wzruszyli pięknym uczynkiem owego chłopca, że każdy wyjął mieszek z pieniądzmi z kieszeni i dał stolarzowi, na co którego stać było — inni znowu przyrzekali przysłać co nieco dla dzieci.

— Dziękuję ci serdecznie mój chłopcze za dobre serce — powiedział pełen wdzięczności stolarz — niech ci się za to jak najlepiej powodzi — a potem dodał jeszcze: a wam moi panowie niechaj Bóg stokrotnie nagrodzi, żeście mię wsparli biednego człowieka.

Niebawem chłopiec wymknął się pokryjomu, ale ja zobaczywszy to, wybiegłem natychmiast z izby, i krok w krok

szedłem za nim. Zaledwie uszliśmy kawałek drogi, gdy w tem chłopiec wchodzi do jednego domu.

Stanąłem więc przed tym domem i uważnie podsłuchiwałem, co to dalej będzie Najprzód dosłyszałem te słowa:

— O Jezu! któryś wisiał między niebem, ojczyzną Twoją, a ziemią, grobem Twoim, zlituj się nad ojczyzną naszą i nad grobami braci naszych!.. Ratuj! bo Ty jeden możesz; przebacz, bo względem Ciebie tylko jesteśmy wszyscy winnymi! Jeżeli męka Twoja sprawiedliwości Boga Ojca zadosyć uczyniła, czemu krew okupionych toczą bezbożni?... O nie dopuszczaj tego Panie! Panie, obróć na korzyść oswobodzenia naszego jedną kroplę krwi Twojej, jedną łzę Matki Twojej wylaną nad Tobą, a stanie się wedle życzeń całego narodu!...

Po ukończeniu tej modlitwy znowu słychać było:

— A gdzieś ty tak długo siedział — pytał zapewnie pan majster — tak to robią pilni chłopcy?

— Ja... ja... byłem proszę pana w mie....

— Gadaj prędko! — zawołał pan majster.

— Byłem w mieście, proszę pana — odpowiedział zmieszany chłopiec.

— A coś tak długo robił w mieście? — pytał dalej pan majster.

— Ja byłem u stolarza.

— U stolarza!... a to po co?! — krzyknął znowu pan majster.

— E bo... proszę pana... pan nie uwierzy...

— Bo co?

— A to się rzecz ma tak — powiada chłopiec. Mojemu znajomemu stolarzowi umarła tej nocy żona. Wiadomo panu, że on teraz tak bardzo podupadł, że nawet nie ma za co pochować żony. Miałem sześć reńskich złożonych na letnie ubranie, a więc dałem mu je na potrzeby, bo myślę, że bliźniego ratować się należy.

— Czemużeś zaraz o tem nie powiedział? — odpowie pan majster. Postąpiłeś sobie bardzo pięknie mój Jasiu. Pan Bóg o twoim uczynku nie zapomni i zapisze sobie do złotej xięgi. Uczyniłeś bardzo ładnie. Otóż odtąd kocham cię więcej, bądź

tylko pilnym i staraj się być i nadal takim i wspomagaj biednych, gdy będziesz miał na to — a ja cię już niedługo zrobię czeladnikiem. Zaś teraz za twoje dobre serce daruję ci mój własny surdut. Chodź! na masz!

Nagle zniknęło światło — i już nic więcej nie słyszałem. A że to i czas był iść w moją stronę, owoż poszedłem ztamtąd i tylko w duchu chwaliłem dobrego Jasia, którego piękny uczynek spisałem teraz, panie pisarzu, z tej racyi, że niejeden go naśladować będzie i dopomoże bliźniemu swojemu.

Teraz zaś zostańcie mi z panem Bogiem.

*Józef z Bochni.*

---

# Sposoby gospodarskie.

---

## Jak wytępić móle?

W niedzielę szła Maciejowa w nowym kożuchu do kościoła. Kożuch śliczny, włos długi i świecący, a taki gęsty, jak nieprzymierzając czupryna Jacusia. Był niedawno Maciej na jarmarku, i mając pieniądze w zapasie, kupił kożuch dla żony, choć to było lato. Maciejowa ani rusz dłużej wytrzymać, i już musiała go koniecznie pokazać kumoszkom w całej paradzie. Choć gorąco było takie okrótne, jak się zdarza ledwie w lipcu, Maciejowa wzięła kożuch do kościoła.

Chwalą kumoszki kożuch językami, a w duszy zazdroszczą Maciejowej, jak to zazwyczaj bywa między ludźmi. Maciejowa rada się także nagadać o swoim kożuchu, więc rozpowiada jak go mąż targował, jak zapłacił i Bóg nie wie co jeszcze. Naostatek powie do Jackowej:

— Już ja wam powiadam kumeczko, że to i bieda na mnie z tym kożuchem. Maciej się pospieszył, taj na same lato kupił. A toć mi mówiła Antkowa, że w lecie robactwo zje kożuch, jeżeli kto nie ma dobrego sposobu na to.

Józefowa dobra kobieta mówi jej:

— Mojaśty miła, nie wielka sztuka na dobry sposób. Ot, powiadam ci, weź za kilka groszy kamfory i napuść ją spirytusem, a jak skruszeje, to rozetrzyj na proszek. Kiedy takim

proszkiem posypiesz futro, nie imie się go żaden robak. Jużci trzeba futro owinąć prześcieradłem i zamknąć szczelnie. Więc widzisz moja miła, że kamfora pachnie tak mocno, iż od tego zapachu wyginą móle i inne wszelkie robactwo.

— Ba, ba moja kumeczko — powie na to Maciejowa — gdzie tam stać człowieka na kupowanie kamfory i jeszcze czego, ot żeby mi się nadarzył jaki tańszy sposób, to co innego.

— Mojaśty miła — powie Józefowa — toć pamiętaj, że za liche pieniądze i psy mięsa nie jedzą, a durniczką człek świata nie przejdzie. Wszystko musi kosztować, to darmo, aleć nie takito okrótny wydatek, aby go sobie pozwolić nie można. Kto pożałuje kilku groszy na kamforę, ten łatwo może stracić kożuch, co kilkadziesiąt reńskich kosztuje. Jak się go raz czepi robactwo, to i kijem nie opędzisz, a jak pożałujesz kilka groszy, to za kożuchem możesz dobrze zapłakać. Wreszcie rób jak chcesz, bo masz swój rozum.

— No, już widzę — mówi Maciejowa — że wy macie rację, i zaraz jutro kupię kamforę.

# RÓŻNOŚCI.

*Pożary.* Zdarzyło się temi czasy znowu mnóstwo pożarów i tak:

Dnia 14 maja powstał pożar w Ponikwie wielkiej w obwodzie złoczowskim, który spalił stajnię dworską i 102 wołów.

Dnia 12 maja wieczorem wybuchł ogień w miasteczku Komarnie w obwodzie samborskim, na przedmieściu Lipie. Wiatr był okrótny, więc ogień szerzył się bardzo i spalił 12 domów z budynkami gospodarskiemi. Szkody jest na sześć tysięcy nowych reńskich, a przyczyną tego nieszczęścia było dziecko małe, które się bawiło zapałkami. Otóż macie skutki nieostrożności.

Znowu 15 maja spaliła się w Borowem w obwodzie żółkiewskim fabryka papieru z młynem, jest tam aż na 20 tysięcy reńskich szkody.

Naostatek pogorzało dwóch gospodarzy, jeden Antoni w Krotoszynie w obwodzie lwowskim, a drugi Hnat w Rypianach w obwodzie samborskim. Spaliły im się całe gospodarstwa z dobytkiem i wszystkiem co mieli. Biedacy zeszli na wielką biedę.

**Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.**